

PAUza

Akademicka



Rok XII

Tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności

Nr 516

Kraków, 28 maja 2020

pauza.krakow.pl

pau.krakow.pl

Wirus nasuwa myśli

MARCIN KULA

Jedni obserwują tego piekielnego wirusa wściekli, że nie mają nic do roboty, a inni – ledwo chodząc z przepracowania. Jedni siedzą zamknięci w parę osób w swoich mieszkaniach, inni stoją w kolejce do sklepu teoretycznie co dwa metry. Jedni chcą się jednoczyć ponad granicami narodowymi w zwalczaniu pandemii, inni wzmacniają granice. Sam chcę jednak poświęcić chwilę, by powiedzieć, że nawet bez tego wirusa zagadnienie dystansu pomiędzy ludźmi i grupami było jedną z podstawowych kwestii w dziejach ludzkości. Wielkim historycznym procesem, któremu podlegały kolejne pokolenia, był proces indywidualizacji jednostek. Dawniejsze epoki, a w gruncie rzeczy cała cywilizacja agrarna, cechowały się silnym kolektywizmem. Życie naszych przodków najczęściej przebiegało w małych społecznościach, gdzie z grubsza wszyscy się znali i wszyscy wiedzieli o wszystkich. Kościół i dom miejscowego potentata stanowiły ich centralne punkty. Prało się we wspólnym miejscu nad rzeką. Szło się razem na odpust. Plotkowało się przy jakichś robotach w zimie i piło w karczmie. Ogólnie dostępne studnie i wodopoje, z czasem także salony pralnicze już w świecie przemysłowym, bardzo długo były miejscami spotkań.

W dawniejszych warunkach mieszkało się najczęściej w parę osób w jednej izbie, za potrzebą chodziło się za stodołę. Wspólne izby i wyrka, nocniki używane przy nieuniknionej obecności innych, mycie się w prymitywnych warunkach, utrudniały nawet zachowanie tajemnicy naszego ciała, którą dziś najczęściej dzielimy się jedynie z wybraną (wybranym) – nawet jeśli, być może, jedynie czasowo wybraną (wybranym). Kiedyś nie dysponowano osobnymi talerzami i widelcami, które są narzędziami bardzo nas indywidualizującymi. Władza państwowa często nakładała podatki nie na konkretnych ludzi, lecz na społeczności. Klientelizm był zjawiskiem normalnym. Nawet okresowo zbiorowo się iskano. Towarzyszyła temu ideologia „zgoda buduje, niezgoda rujnuje” oraz wybaczenia sobie nawzajem przynajmniej przed śmiercią – nawet jeśli niekoniecznie wyciągano wnioski z przytoczonej maksy.

Oczywiście, także w czasach tradycyjnej gromady występowało poczucie obcości w stosunku do pewnych ludzi czy grup: do trędowatych, do ludzi dotkniętych anomaliami fizycznymi, do heretyków, do kobiet uznanych za czarownice, do ludzi z jakichś powodów usuniętych poza grupę – ale raczej nie w ramach jej samej. Na sposób życia nakładały się działania podejmowane celowo – takie jak budowanie jedności wyznawców danej religii, całości cywilizacyjnej (koncepcja jedności świata chrześcijańskiego), czy zjednoczonego obszaru politycznego (wokół seniora, wokół króla, wokół cesarza).

Przemysłowa, kapitalistyczna modernizacja była i jest związana z indywidualizacją ludzi. Człowiek najczęściej rodzi się w szpitalu. Umiera na ogół wśród obcych, podczas gdy rodzina nieraz nawet boi się śmierci danej osoby w domu, wśród bliskich. W krajach rozwiniętych i w grupach znośnie sytuowanych izbę zastąpiło mieszkanie o paru pokojach. Wspólne wyrko zastąpiło łóżko – dziś indywidualne często nawet w wypadku małżonków.

Rodzina wsiadła do samochodu, który izoluje ją od innych. Gdy podczas któregoś z kolejnych kryzysów na Bliskim Wschodzie w Paryżu zabrakło benzyny i w weekend paryżanie znów, jak kiedyś, wyszli pospacerować po ulicach, wszyscy sobie jakby przypomnieli, że żyją między ludźmi, a nie tylko kontaktują się z innymi dla ułatwienia rozlicznych spraw. Obecnie może zepsucie się poczty elektronicznej, czego skądinąd trudno sobie życzyć, uświadomiłoby nam, że można kontaktować się bardziej bezpośrednio. Nowoczesne środki komunikacji masowej oraz łączności przecież tyleż łączą, ile faktycznie izolują ludzi między sobą. Będąc w kontakcie z całym światem, *de facto* pozostajemy sami przed telewizorem lub monitorem komputera. Te urządzenia mogą natomiast otwierać drogę powrotu do wspólnotowości, niekoniecznie przez nas wszystkich pożądaną. Możemy zostać objęci taką siecią kontroli, że ani przez chwilę nie będziemy sami. Ktoś będzie się nami opiekował na okrągło. Przyśle karetkę pogotowia w potrzebie, ale też będzie wiedział, gdzie jesteśmy i jaki list i do kogo wysłaliśmy.

*

Przy wszystkich koniecznych niuansach można powiedzieć, że plemienność koliduje z wymogami współczesnego życia, wobec którego stajemy indywidualnie. Gdy wielu z nas znalazło się – praktycznie bez pomocy – wobec niemałych trudności, szybko odczuło większą potrzebę znalezienia się pod paternalistycznym parasolem i solidarności z innymi. Nie byli zadowoleni z odpowiedzi prezydenta Bronisława Komorowskiego, udzielonej w 2015 r. jakiemuś młodemu człowiekowi, który zapytał, jak ma kupić mieszkanie jego siostra, która po trzech latach szukania pracy znalazła ją, ale z wynagrodzeniem 2 tys. Prezydent (w kampanii wyborczej!) odpowiedział, by siostra zmieniła pracę i wzięła kredyt. Niezależnie od tego, czy pytanie było ustawką, także niezależnie od tego, że odpowiedź niekoniecznie wyrażała aż program Bronisława Komorowskiego, stała się pewnym symbolem. Komorowski „podłożył się”. Ludzie nie tego chcieli, więc gdy sprawa została rozdmuchana, konkurencja polityczna skorzystała – znacząco akcentując hasło solidarności.

Co ważniejsze, także w bardziej znaczących dla świata zjawiskach dziejów najnowszych wyraziła się niechęć ludzi do indywidualizacji. Zarówno faszyzm, jak stalinowski komunizm były próbą zawrócenia tej tendencji dziejowej. W tych ustrojach człowiek miał istnieć jako element konstrukcji przypominającej plaster miodu – nawet jeśli nie zawsze znajdował miód w komórkach. Nawet bez takiego nacisku na wspólnotowość, jak w wymienionych strukturach, w podstawowych ramach naszego życia pojawiło się wiele instytucji mających zrównoważyć indywidualizm. Zjednoczenie w ramach narodów miało zastąpić rozsypane ramy feudalne. Powszechna nauca, Kościół (zwłaszcza dawniej), rozliczne organizacje, ruchy polityczne, nieraz populizm, współczesne państwo, nawet różne posunięcia zmieniające załogi fabryk w kolektyw, sport, imprezy masowe miały i mają zastąpić nam sytuację, którą David



► Riesman nazwał *The Lonely crowd*. Na polski przetłumaczono ten tytuł dosłownie jako *Samotny tłum*. Intencją autora chyba lepiej oddawałoby tłumaczenie *Tłum samotnych*.

*

No i przyszedł koronawirus. Ten nasz towarzysz podróży oddziałuje dwoiście. Prezydent Trump mówi z grubsza „America first”, krytykuje Chiny i odwraca się od WHO. Premier Morawiecki akcentuje potrzebę solidarności w walce z epidemią, a jednocześnie deklaruje, że w godzinie próby sprawdziły się państwa narodowe, nie zaś Unia. Deklaruje, że chciałby, ażeby maseczki na usta były wytwarzane przez polskie firmy – co nie brzmi specjalnie solidarnościowo w wymiarze europejskim. Na niższych szczeblach organizacji społecznej obserwuje się sporo zbliżenia między ludźmi. Pojawiają się oferty pomocy w potrzebie, zbiorowe koncerty artystów, grających w swoich mieszkaniach, a łączących się na

ekranie... Wyczuwa się jakieś trudno definiowalne zbliżenie ludzi w dotykającym wszystkich kłopotcie... Takie reakcje chyba jednak maleją w miarę trwania sytuacji, do której się coraz bardziej przyzwyczajamy i zarazem coraz bardziej się nią męczymy. Adekwatniejszy w skali międzynarodowej może okazać się rysunek flagi olimpijskiej z kołami oddalonymi zamiast przecinającymi się i – w skali indywidualnej – rysunek przedstawiający logo „Solidarności”, gdzie idące litery (ludzie!) stoją w odległości dwóch metrów jeden od drugiego. Pozostaje mieć nadzieję, że – po pierwsze – wirus sobie pójdzie. Po drugie i trzecie – że nie wywoła nadmiernie destrukcyjnych ruchów upośledzonych grup zdesperowanych oraz niedobrej reakcji ze strony czynników dysponujących siłą jeszcze wolną od wirusów. Po czwarte – że nie spowoduje w społeczeństwie dążenia do autokuracji w postaci polepszenia głębi dla nacjonalizmów, populizmów, autorytaryzmów. Za dużo tych marzeń? A niby dlaczego? W sam raz.

MARCIN KULA

Akademia Teatralna im. Aleksandra Zelwerowicza w Warszawie
Członek korespondent PAU

Wybory czy wotum zaufania?

W cieniu aktualnej dyskusji o wyborach prezydenckich odbywają się inne wybory, także ważne dla pracowników uczelni – wybory rektorów i osób pełniących inne kierownicze funkcje w uczelniach (o ile JM Rektor na wybory tych ostatnich przyzwoli). Wybory... to słowo sugeruje, że opowiadamy się za jedną z kilku opcji. Wymóg taki został sformalizowany w przypadku wyborów dyrektorów instytutów PAN, odbywających się w drodze konkursu. Zgodnie z odpowiednim rozporządzeniem Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego, rada naukowa instytutu „podejmuje uchwałę o unieważnieniu konkursu, jeżeli [...] warunki formalne zostały spełnione przez mniej niż dwóch kandydatów”. Czyli, aby dyrektor mógł zostać wybrany, potrzebne są co najmniej dwie ważne kandydatury. Życie wygrywa z wszelkimi przepisami, więc nie są rzadkie przypadki podstawiania przez pretendenta do stanowiska kontrkandydata na zasadzie „jelenia do odstrzału”. Jednak w tych nielicznych przypadkach, w których byłem członkiem komisji konkursowych, nie zetknąłem się z taką sytuacją. Mnie się taka „wymuszona demokracja” w sumie podoba. Bo inną ewentualnością jest głosowanie na jedynego słusznego kandydata. Z pewnością zdarzają się sytuacje, gdy w istocie jest jeden sensowny kandydat i nikt inny nie staje do wyborów przez uznanie i szacunek dla jedynego kandydata. Zwyczajem jest, że rektor czy dziekan ubiegający się o drugą kadencję nie ma kontrkandydata – chyba że jego pierwsza kadencja budziła poważne zastrzeżenia. Obawiam się jednak, że w skali wielu uczelni, wielu wydziałów i insty-

tutów w całym kraju motywacje innych potencjalnych kandydatów, niedecydujących się na stanięcie do wyborów, są bardziej zróżnicowane. Jedną z nich jest niewątpliwie obawa przegranej (nie jest to chyba najistotniejszy powód), choć przegrana w demokratycznych wyborach nie jest żadną ujmą. Często główny kandydat skłania kontrkandydata do wycofania się, bo obawia się przegranej lub nie chce wygrać niezbyt dużą różnicą głosów – choć co jest lepsze: wygrać z przeciwnikiem (nawet nie miażdżącą przewagą głosów), niż być jedynym kandydatem i wygrać z... nicością?

Prawo i tradycja nie zabraniają w uczelniach wyborów w sytuacji, gdy zgłoszony jest tylko jeden kandydat. Czy jednak taką procedurę powinno się nazywać „wyborami”? Nie znajduję logicznego uzasadnienia dla wykoślawiania oryginalnego znaczenia tego słowa. Może właściwiej byłby mówić o udzieleniu wotum zaufania, tak jak mówi się w przypadku zatwierdzenia rządu przez parlament? Tam też nie ma żadnego wyboru w stosunku do przedstawionej propozycji, tylko albo zgoda na nią, albo nie.

Jakkolwiek nie ma w stosunku do procedur uczelnianych wymogu ustawowego zgłoszenia się więcej niż jednego kandydata, wybory wydają mi się z wielu względów lepszą opcją niż wotum zaufania, zwłaszcza w sytuacji obowiązywania Ustawy 2.0, która przyznaje rektorowi bardzo duże uprawnienia. Ważne jest więc szczególnie, by pełnia władzy dostała się w jak najwłaściwsze ręce. Propagujmy jak najszerzej demokrację, byśmy kiedyś nie musieli o niej zapomnieć.

GRZEGORZ BARTOSZ

Uniwersytet Łódzki
Uniwersytet Rzeszowski

514 numer „PAUzy Akademickiej”, poświęcony setnej rocznicy urodzin Jana Pawła II, wywołał odzew naszych Czytelników. Prof. Andrzej Górski nadesłał nam mało znany list Jana Pawła II do uczestników Konferencji omawiającej konflikt interesów w nauce i medycynie (5–6 IV 2002), gdzie Papież definiuje bardzo jasno swoje stanowisko w sprawach nauki i etyki. Otrzymaliśmy również komplet „raportów” o sytuacji w Polsce przygotowywanych dla Papieża przez grupę krakowskich uczonych, o której pisał w 514 numerze ks. prof. Michał Heller. Z okazji rocznicy ukazał się też piękny list Benedykta XVI. Wszystkie te dokumenty udostępniamy poniżej jako linki.

Redakcja

List Jana Pawła II

Raporty

List Ojca Świętego Benedykta XVI

Radości i zadania

Dużo mądrych i pięknych słów wypowiedzieliśmy w setną rocznicę urodzin Jana Pawła II. Przeważały wspomnienia, świadectwa głębokich przeżyć, trwałych wewnętrznych przemian. W dniu 18 maja 2020 nastąpił także czyn – by użyć papieskiej terminologii – czyn bardzo konkretny, z którym, jak sądzę, wolno wiązać duże nadzieje.

Tego dnia otwarto w Rzymie, na Wydziale Filozoficznym Papieskiego Uniwersytetu św. Tomasza z Akwinu – Angelicum – Instytut Kultury św. Jana Pawła II. Będą tam prowadzić badania nad podstawowymi problemami kultury we współczesnym świecie – z perspektywy myśli antropologicznej Jana Pawła, najwybitniejsi uczeni z różnych krajów. Jako jeden z pierwszych przyjął zaproszenie Rémi Brague, profesor paryskiej Sorbony, wybitny znawca antropologii kultury. Studenci Angelicum są intelektualnymi potomkami patrona Instytutu, który na tym uniwersytecie pisał doktorat i gruntował swoją formację duchową (1946–1948), co zapewne nie jest bez znaczenia dla następców.

Powodem satysfakcji, nawet dumy, musi być fakt, że nową międzynarodową placówkę akademicką wymyślili i powołali do życia ludzie tworzący środowisko Teologii Politycznej, formalnie: Fundacja św. Mikołaja wraz z watykańską Fundacją Futura – Iuventura. Krąg młodych intelektualistów, wśród których jest wielu filozofów, publikujący rocznik „Teologia Polityczna”, mający w dorobku sporą bibliotekę książek, najogólniej mówiąc klasycznych (m.in. sokratejskie dialogi Platona w nowych przekładach), spozstrzegł i uznał za pilną potrzebę pomnożenia dobrze wykształconych specjalistów w zakresie chrześcijańskiej antropologii kultury, której polski papież dopisał nowe odkrywcze rozdziały.

Dariusz Karłowicz, prezes Fundacji św. Mikołaja, tak określa motywy twórców Instytutu i zadania, jakie sobie stawiają: „Wierzimy, że wraz z Janem Pawłem II można i należy patrzeć nie tylko na czasy jego pontyfikatu, ale również na współczesne i przyszłe problemy wiary, filozofii, kultury, nauki, polityki i kwestie społeczne. Chcemy skupiać się nie tylko na badaniu dorobku Wielkiego Papieża, ale również na myśleniu wraz z nim o najważniejszych sprawach kultury duchowej, a więc np. solidarności, miłosierdziu, sztuce chrześcijańskiej, miejscu Kościoła we współczesnym świecie czy kryzysie duchowym Europy”. Odnosząc to do nazwy Instytutu, wolno ocenić ambicje jego twórców, traktujących kulturę bardzo szeroko – nie przez przyznawanie rodzajów ekspresji, inspirowanej potrzebami ducha, lecz jako szczególnej – twórczej – odpowiedzialności za całość życia społeczeństw.

Zapoznając się z różnymi głosami o nowej „polskiego pochodzenia” placówce w Rzymie, wracałam pamięcią do spotkania Jana Pawła II z twórcami w roku 1987. Przywołał wtedy w warszawskim kościele św. Krzyża Norwida: „Cóż wiesz o Pięknej?”

...kszałem jest miłości”. Następnie sformułował zadanie dla tych, którzy mają udział w tworzeniu piękna, by zawsze baczyli na ów głęboki i nierozzerwalny związek z miłością, który warunkuje istnienie i rozwój kultury.

Myśląc o zadaniach Instytutu Kultury św. Jana Pawła, który rozpocznie działalność z nowym rokiem akademickim, wyobrażam sobie, jaki bogaty wybór tematów do referowania, do pierwszych poczynań badawczych, do wystąpień na pozauniwersyteckim forum dyskusyjnym, będą mieli jego studenci. Wkroczą, pod opieką wybitnych preceptorów, w samo centrum aktualnych debat na podstawowe tematy – o hierarchii tego, co wybieramy z bogatej europejskiej tradycji, o dialogu jako postaci poszukiwania konkluzji (wspólnych i osobnych), o kryteriach, wedle których oceniamy dzieła i wytwory, o tym, co pojęcie kultura znaczy w odniesieniu do nas samych...

Zaiste wielką rzecz zrobili polscy chrześcijańscy filozofowie na papieskie urodziny, a trzeba tu podkreślić, że Instytut powstał w całości z ofiar prywatnych darczyńców, których twórcy przekonali do takiej formy splecenia choć

części „niespłacalnego długu”, jaki wszyscy mamy u wielkiego Polaka. Wypada zachęcać do dalszej hojności.

Na uroczyste otwarcie Instytutu Kultury św. Jana Pawła papież Franciszek napisał w liście do rektora Angelicum: „Różnorodne doświadczenia życiowe, obejmujące największe tragedie jego czasów oraz osobiste cierpienie postrzegane w świetle Ducha Świętego, prowadziły go do wyjątkowo głębokiej refleksji nad człowiekiem i jego kulturowymi korzeniami, jako nieodzownym punktem odniesienia dla głoszenia Ewangelii. I tak, w swej pierwszej Encyklice, napisał: Zbliżamy się równocześnie do wszystkich kultur, światopoglądów, do wszystkich ludzi dobrej woli. Zbliżamy się z tą czcią i poszanowaniem, jakie od czasów apostołskich stanowiły o postawie misyjnej i misjonarskiej (...)”.

Rzymski Instytut zaczyna swą pracę w wyrazistym momencie debaty o równowadze między tym, co wspólne, i tym, co narodowe, tym, co globalne, i tym, co lokalne. W zapalnym punkcie europejskiego dialogu. Wizja kultury Jana Pawła – od pamiętnego przemówienia w UNESCO na początku pontyfikatu, poprzez, wspomniane wyżej, słowa w Warszawie, po niejednokrotne stwierdzenia o integralnym związku człowieka z kulturą, który warunkuje człowieczeństwo – ta wizja nie uległa istotnym zmianom, ewoluowała poprzez precyzowanie znaczeń i pogłębianie poszczególnych wątków dotyczących elementów ludzkiej psychiki, ich odniesienia do kwestii wiary.

Jubileuszowy dar dla papieża filozofa wydaje się wyjątkowo trafiony. Przez swą aktualność i zarazem perspektywiczność. Można ufać, że przyniesie cenne koncepcje, inspirujące hipotezy, ale także idee pomocne w zbiorowym życiu.

MAGDALENA BAJER



PLATFORMA WYMIANY NAUKOWEJ PAU



WYDAWNICTWO PAU POLECA publikacje online

O habilitacji

W kwietniowym numerze Forum Akademickiego zauważyłem obszerną relację red. Piotra Kieracińskiego ze spotkania na temat habilitacji, zorganizowanego w marcu przez Radę Młodych Naukowców. Organizatorzy zaprosili „grono osób, których opinie w tej sprawie uznali za interesującą lub ważną”, w tym również kierownictwo resortu nauki.

Problem potraktowano szeroko. Zebrani rozważali nie tylko, czy należy utrzymać obowiązek habilitacji jako etap w systemie karier naukowych, ale też czym zastąpić habilitację, a gdyby pozostała, to czy i jak poprawić procedury, oraz jakie uprawnienia powinny być z nią związane. To bardzo obszerny zbiór zagadnień i trudno się dziwić, że głosy uczestników były też bardzo zróżnicowane. Z relacji wynika, że większość – włącznie z panem ministrem – opowiedziała się za zlikwidowaniem obowiązku habilitacji.

Z racji wieku jestem konserwatystą i uważam, że jeżeli – w jakiejś dziedzinie życia – zmiany nie są KONIECZNE, to NIE NALEŻY ich wprowadzać. Dotyczy to zwłaszcza nauki i edukacji, które winny rozwijać się w sposób naturalny, bez gwałtownych rewolucji.

Próbowałem więc rozważyć, czy argumenty przeciwników habilitacji, przedstawione w tekście red. Kieracińskiego, rzeczywiście dowodzą KONIECZNOŚCI zlikwidowania w Polsce obowiązku habilitowania jako etapu kariery naukowej.

O ile dobrze zrozumiałem, sprowadzają się one do pięciu punktów:

- (i) Habilitacja opóźnia uzyskiwanie samodzielności naukowej;
- (ii) Obecne procedury sprawiają, że uzyskanie habilitacji nie dowodzi właściwego poziomu naukowego;
- (iii) Konieczność habilitowania „utrwała wertykalny system awansu, oparty na formalnych stopniach, a nie na rzeczywistym dorobku badawczym”;
- (iv) Habilitacja daje dostęp do pewnych przywilejów, których nie ma profesor z doktoratem;
- (v) Obecny system nie jest kompatybilny z systemami zagranicznymi.

Od razu powiem, że te argumenty mnie nie przekonały. Po kolei:

- (i) Nikt chyba nie twierdzi, że WSZYSCY otrzymujący stopień doktora są w pełni samodzielni naukowo. Wobec tego konieczna jest weryfikacja, coś w rodzaju egzaminu mistrzowskiego. Nie chodzi przecież chyba jedynie o to, by poprawić statystyki, przyznając wszystkim automatycznie „certyfikat samodzielności”. Naturalnie należy minimalizować opóźnienia, ale to już kwestia procedur, a nie samej zasady weryfikacji.
- (ii) To bardzo poważny zarzut, wskazujący, że obecne procedury wymagają przemyślenia i zapewne korekty. Warto o tym dyskutować. Dodam, że sam też słyszałem wiele głosów za zaostrzeniem wymagań.
- (iii) Dla mnie ten argument jest nie do przyjęcia, a pytanie zadane przez jednego z dyskutantów: „Czy w naszych

warunkach doktor z dużym dorobkiem wygra w konfrontacji z doktorem habilitowanym z marnym dorobkiem?” – uważam za demagogiczne i wręcz nie na miejscu w poważnej dyskusji. Bo odpowiedź na nie jest prosta: a kto zabronił doktorowi z DUŻYM DOROBKIEM się habilitować?

- (iv) Nie orientuję się, o jakie uprawnienia chodziło dr. Piotrowi Wojtulkowi (to przewodniczący Rady Młodych Naukowców), którego cytuje red. Kieraciński. Dla jasności przedstawię więc moje zdanie. Myślę, że jedynym nieusuwalnym „przywilejem” doktora habilitowanego (niezależnie od zajmowanego stanowiska) winno być prawo do doktryzowania swoich uczniów oraz recenzowania rozpraw doktorskich i habilitacji. Pozostałe „przywileje” (lub ich brak) winny być określone w statucie uczelni. Np. nie widzę żadnych przeszkód, aby doktor mógł być kierownikiem zespołu naukowego.

- (v) Rzeczywiście systemy w różnych krajach są różne, ale – o ile wiem – wszędzie oprócz stopnia doktora istnieje bardziej lub mniej formalny obowiązek udowodnienia swojej samodzielności naukowej. Np. w często przywoływanych w tym kontekście Stanach Zjednoczonych istnieje pozycja „tenure track”, której uzyskanie jest zazwyczaj trudniejsze niż nasza habilitacja. Nie wydaje mi się więc, aby było zbyt trudno uzgodnić nasz system z jego odpowiednikami w innych krajach.

Podsumowując, nie zostałem przekonany, że habilitacja jest niepotrzebnym elementem w naszym systemie naukowych karier i stąd pozostaję zwolennikiem jej utrzymania. To jednak nie znaczy, że chciałbym kurczowo trzymać się obecnie obowiązujących procedur. Mam wrażenie, że głosy wskazujące na konieczność zaostrzenia kryteriów są wystarczająco liczne, aby skłonić ustawodawców do przemyślenia tych spraw na nowo.

Problem w tym, że zarówno specyfika, jak i tradycja w różnych środowiskach bywają tak różne, że ich postulaty niezwykle trudno ze sobą pogodzić.

Na przykład, o ile się orientuję, humaniści są na ogół zwolennikami przeprowadzania kolokwium habilitacyjnego wraz z wykładem habilitacyjnym. Z drugiej strony przyrodnicy i matematycy łatwiej akceptują obecny system, gdy odpowiednio dobrana komisja ekspertów ocenia jedynie dorobek kandydata. Widać, że opracowanie jednej wersji, która by wszystkim zadowoliła, to kwadratura koła.

W związku z tym chciałbym poddać pod rozagę możliwość wprowadzenia RÓŻNYCH procedur w różnych obszarach nauki. Jest to logiczny wniosek z poprzednich rozważań: skoro ustalenie jednej procedury, która byłaby optymalna dla wszystkich obszarów nauki, jest po prostu niemożliwe, należy dopuścić różne procedury habilitacji, aby uzyskać zgodność ze specyfiką i tradycją różnych gałęzi nauki.

Domyślam się, że ta myśl wywoła oburzenie koleżanek i kolegów, którzy są jeszcze bardziej konserwatywni niż ja. Ale cóż, ryzyk-fizyk.

ANDRZEJ BIAŁAS

PAUza Akademicka – www.pauza.krakow.pl – tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności i środowiska naukowego.

Rada Redakcyjna: Magdalena Bajer, Andrzej Białas, Janusz Limon, Ewa Lipska, Stanisław Rodziński, Piotr Sztompka, Marta Wyka, Jakub Zakrzewski, Franciszek Ziejka.

Redakcja: Andrzej Białas – redaktor naczelny; Andrzej Borowski, Andrzej M. Kobos, Piotr Malecki, Marian Nowy – redaktorzy; Adam Korpak, Krzysztof Skórczewski – grafika; Ryszard Otręba – „Galeria PAUzy”; Anna Michalewicz – dyrektor administracyjny; Witold Brzoskowski, Monika Mendel – fotokład; Wydawnictwo PAU – konsultacje.

Adres do korespondencji: Polska Akademia Umiejętności, 31–016 Kraków, ul. Sławkowska 17; e-mail: pauza@pau.krakow.pl

Oczekujemy na artykuły do 6 000 znaków (ze spacjami) i ilustracje w formacie JPEG o rozdzielczości 300 dpi.